

Załoga misyjna

W czasie popołudniowego spaceru na „małej drodze” spotkałam Świętą Teresę od Dzieciątka Jezus. Właśnie rozmawiała ze Świętym Franciszkiem Ksawerym. Trzymali przed sobą mapę świata i żywo dyskutowali nad tym, gdzie jeszcze na ziemi ludzie nie słyszeli o Panu Jezusie. Jak przystało na porządnych Patronów Misji katolickich wciąż starali się wesprzeć misjonarzy pozostających jeszcze na ziemi. Czerwonym pisakiem zaznaczali na mapie te miejsca, które szczególnie chcą otoczyć swoją duchową opieką w najbliższym czasie. Niebieskim zaś zaznaczali punkty, gdzie ludzie słyszeli już o Panu Jezusie i przyjęli chrzest, ale ich wiara słabnie, dlatego i tam potrzeba misjonarzy, którzy na nową rozbudzą entuzjazm wiary w Pana Boga. Gdy do nich podeszłam, zagadnęłam:

– Pewnie szykujecie się do kolejnej misji... Miło widzieć, z jak wielkim zapałem chcecie dalej wspólnie pomagać ludziom. A przecież należycie do zupełnie innych zgromadzeń zakonnych i żyliście na ziemi w innych czasach.

Mała Tereska ogarnięta misyjnym entuzjazmem powiedziała:

– To prawda Bolesiu¹, ale jak mówiła moja Matka duchowa, Święta Teresa od Jezusa, święty nie przychodzi sam do nieba, ale przyprowadza za sobą innych ludzi. Święty to kapitan, któremu Bóg kompletuje całą załogę. My właśnie chcemy taką załogę misyjną stworzyć tu w niebie.

Franciszek również pochłonięty pragnieniem zdobywania dusz dla Jezusa podniósł palec do góry i zawołał:

– Otóż to! A przygotowywałem się do tego już na ziemi.

– W jaki sposób to robiłeś? – zapytałam.

Franciszek wyjaśnił:

– Będąc jeszcze na ziemi, dołączyłem do grona przyjaciół Świętego Ignacego z Loyoli, z którym zapoczątkowaliśmy Towarzystwo Jezusowe. W skrócie nazywano nas jezuitami.

– Czyli byliście towarzyszami Jezusa? – zapytałam.

– Zgadza się – odpowiedział Franciszek. – Na początku nawet chcieliśmy się nazywać „kompani Jezusa”. Kompan, towarzysz, to znaczy ktoś bliski, przyjaciel, bratnia dusza, ktoś na kim można polegać. I tacy chcieliśmy być wobec Chrystusa. Dlatego stworzyliśmy grupę

¹ Bolesia – błogosławiona Bolesława Lament, założycielka Zgromadzenia Sióstr Misjonek Świętej Rodziny.

Przyjaciół Jezusa. Do dzisiaj mamy swojego generała, który podlega papieżowi, a ten samemu Jezusowi.

– Generała? – zdziwiłam się, skojarzyło mi się to z wojskiem. Franciszek wyjaśnił:

– Tak, generała. W wojsku dowodzi on całym oddziałem żołnierzy. Podobnie i u nas pierwszym generałem był Święty Ignacy Loyola, który dowodził pozostałymi zakonnikami.

– I tak jak w wojsku macie swoje mundury? – dalej dopytywałam.

– Oczywiście – Franciszek wyprostował się i zaprezentował swój strój. – Naszym mundurem jest ten strój zakonny. Przyjrzyj mi się dokładnie. Noszę czarną suknię bez guzików, z białą koloratką wystającą ponad kołnierzyk, przepasaną czarnym pasem związanym z prawej strony.

Pokiwałam głową i powiedziałam:

– Podoba mi się. No dobrze. To pewnie też, tak jak prawdziwi żołnierze musicie codziennie wykonywać ćwiczenia, by żadna misja was nie zaskoczyła. Czyż nie?

Franciszek potwierdził słowami:

– To prawda. Chcemy być zawsze gotowi, by ruszyć na pierwszą linię frontu. Jednak nasze ćwiczenia wyglądają nieco inaczej niż w wojsku.

– To znaczy? – byłam ciekawa, na czym polegają te ćwiczenia. Franciszek zaczął:

– Owszem dbamy o gimnastykę, ponieważ lubimy ruch fizyczny. Najważniejsze jednak są dla nas ćwiczenia duchowe. Nasze życie jest jak stanie na warcie w wojsku albo w harcerstwie. To znaczy, że mamy zawsze czuwać i nasłuchiwać głosu Jezusa. Dla nas Jego słowa są tym, czym dla żołnierzy rozkazy wydane przez głównego dowódcę. Ażeby je usłyszeć codziennie czytamy fragment Ewangelii – tu Franciszek wziął do ręki Pismo Święte – i rozmyślamy na tym, co Pan Jezus tam powiedział, zrobił, z kim się spotkał. Szczególnie staramy się to wszystko zobaczyć w swoim sercu, swojej wyobraźni – Franciszek dotknął serca, a potem wskazał palcem swoją głowę – i wtedy Pan Bóg mówi do nas...

Stałam na baczność i z uśmiechem zapytałam:

– Czyli to są te rozkazy?

– Dokładnie tak! – Franciszek również się uśmiechnął i kontynuował: – Potem zastanawiamy się, jak możemy je wypełnić, korzystając tylko z tego, co nam pomaga, a odrzucając to, co przeszkadza.

– To bardzo rozsądne – powiedziałam, kiwając głową.

A Franciszek dalej mówił:

– Oczywiście czasem wkrada się zmęczenie, ale wtedy tym bardziej mobilizujemy się, by dobrze zrealizować zadanie. Chcemy jak najlepiej je wypełnić, maksymalnie wykorzystując

swoje możliwości. Jeżeli np. mamy się czegoś nauczyć, to staramy się to robić z zapałem i entuzjazmem. Jeżeli mamy coś zjeść, to z apetytem i radością.

– A jeżeli coś się nie uda? – zapytałam z ciekawością.

– To nie załamujemy się, ale prosimy Jezusa, aby zachował w nas równowagę ducha, pokój serca, ufność, że On jest przy nas. Dlatego też dwa razy dziennie składamy samemu Jezusowi sprawozdanie z tego, co nam się udało do tej pory zrobić, a czego jeszcze nie. Mówimy też, gdzie popełniliśmy błędy, a co zrealizowaliśmy dobrze. Jezus pomaga nam wtedy opracować dalszą strategię działania. Nazywamy to rachunkiem sumienia.

– Jaki więc był najważniejszy rozkaz, który otrzymałeś? – Chciałam wiedzieć, co w życiu Świętego Franciszka było najistotniejsze. Spojrzał przed siebie i po chwili z dumą odpowiedział:

– Miałem zostać pierwszym jezuickim misjonarzem, który wyjechał do Indii. Święty Ignacy zawołał mnie i powiedział, że to jest moje zadanie.

– I co odpowiedziałeś?

– Powiedziałem, że jestem gotowy. I tak się rzeczywiście stało. Płynęliśmy żaglowcem rok i jeden miesiąc. Podróż nie była łatwa. Musieliśmy przepłynąć pół świata – Franciszek Ksawery wskazał palcem na mapę – od Europy, przez Afrykę aż do Azji. Z Bożą pomocą dotarliśmy do celu. Tam na początku pracowałem wśród dzieci. Chodziłem po ulicy i dzwoniłem dzwoneczkiem, aby zwołać je na katechezę, by mówić im o Panu Bogu.

Franciszek wyciągnął z kieszeni swój dzwoneczek i głośno zadzwonił. Gdy dzwoneczek ucichł, powiedziałam:

– Aaa... to stąd znane jest powiedzenie: „Do szkoły zabieraj się kolego, gdy słyszysz dzwonek Ksawerego!”

Franciszek uśmiechnął się, schował dzwoneczek i opowiadał dalej:

– Potem spotykałem się również z dorosłymi. Byłem też nawet na „Wybrzeżu Rybackim”, gdzie opowiadałem o Jezusie, który do grona swoich Apostołów powołał prostych rybaków znad Jeziora Galilejskiego.

– I co słuchali? – próbowałam sobie wyobrazić tę scenę. A Franciszek dalej mówił:

– O tak, niejeden chciał nawet zostać Towarzyszem Jezusa, czyli być jezuitą tak jak my. Ale nie tylko tam. Pielgrzymowałem po różnych częściach Azji, dotarłem nawet do Japonii. Wszędzie chciałem chodzić pieszo. Szedłem od wioski do wioski, od domu do domu, od człowieka do człowieka. Nie znałem ich języka, dlatego często korzystałem z pomocy tłumacza. Czasem brakowało wody do picia, ale nie zniechęcałem się, bo mówienie o Jezusie

i udzielanie chrztu świętego było moim najważniejszym zadaniem. Staralem się je wykonywać najlepiej, jak tylko potrafiłem.

Jeszcze raz całą trójką spojrzeliśmy na mapę, konkretnie na miejsca, o których opowiadał Franciszek. Po chwili powiedziałam:

– Mimo tych wszystkim przeciwności misje, które Pan Bóg przez ciebie rozpoczął, trwają do dziś. I ja powtarzałam moim siostram: „Misjonarz nie zna prawdziwych klęsk i zawodów. Dzieła Boże klęsk nie znają. Panuje w nich tylko zwycięstwo”². Dlatego nie trzeba się zniechęcać trudnościami, które nas spotykają. A nie tęskniłeś za swoimi braćmi w Hiszpanii?
– tu wskazałam palcem na to państwo.

Franciszek również spojrział w tym kierunku i powiedział nostalgicznym głosem.

– O tak, tęskniłem i to bardzo. Dlatego pisałem do nich dużo listów, w których opisywałem wszystko, co mnie spotkało. Świadomość, że ktoś o mnie myśli i modli się za mnie dodawała mi siły do dalszej pracy. Ci, którzy się za mnie modlili również mieli udział w mojej misji.

Tu rozłożyłam ręce i powiedziałam:

– No właśnie „życie czynne i życie kontemplacyjne zamiast się wykluczać, potrzebują się, łączą się i opierają na sobie, uzupełniając się wzajemnie”³.

W tym momencie Mała Tereska dołączyła do naszej dyskusji:

– Dlatego i ja nie ustawałam w modlitwach za kapłanów i misjonarzy. Ofiarowywałam za nich swoje trudy, cierpienia, których doświadczałam, żyjąc w Karmelu.
– Czyli ty nigdzie nie wyjechałaś na misje? – zapytałam.

Mała Tereska pokiwała głową.

– Nie. Żyłam w zakonie kontemplacyjnym, trwając na modlitwie. Nie mogłam być misjonarką czynną, więc pragnęłam nią być mocą miłości i pokuty. W ten sposób służyłam misjom z takim samym zapałem w sercu, jaki miał Franciszek Ksawery. Żyjąc Miłością do Jezusa, żyłam dla misji. Tą drogą chciałam dojść aż tu do nieba.

– Czy możesz powiedzieć nam coś więcej o tej drodze? – byłam ciekawa, jak nasza rozmówczyni doszła aż tu, do nieba. Teresa zaczęła wyjaśniać:

– Właściwie to była winda, którą wzniosłam się prosto do Jezusa. Tak jak w wieżowcu ludzie korzystają z windy, zamiast iść pieszo po schodach, tak ja znalazłam windę do nieba.

– Winda do nieba? A przejeżdża ona przez jakieś piętra? – zapytałam, wyobrażając sobie taką niebiańską windę.

² Lament B.M., *Bym Cię kochała coraz goręcej*, Warszawa 1997, s. 109.

³ Tamże, s. 59.

– Tak i na każdym z nich czeka na nas jakieś zadanie. – Mała Tereska odpowiedziała dość tajemniczo... Zastanawiałam się, jakie to mogłoby być zadanie. Zapytałam więc:

– A przez ile pięter ta winda przejeżdża?

Mała Tereska pokazała sześć palców i powiedziała:

– Przez sześć.

– Co więc musimy zrobić na pierwszym piętrze?

Mała Tereska, wskazując palcem na małe dzieci bawiące się w dali na łące, powiedziała:

– Po prostu być dzieckiem. Tak jak dziecko wszystko otrzymuje od mamy, tak my mamy wszystkiego oczekiwać od Pana Boga.

– A na drugim? – pytałam dalej, a Mała Tereska odpowiadała prostymi, krótkimi zdaniami:

– Ufać zawsze Panu, tak jak dziecko rzuca się ufnie w ramiona ojca.

– Na trzecim?

– Przyjmować wszystko to, co przychodzi każdego dnia. Jeśli jest to coś przykrego, to przyjąć to, tak samo jakby było to coś radosnego. Nie narzekać, ale wszystko przyjmować.

– Na czwartym?

– Tutaj chcemy być mniej niż zero – to znaczy nie chcieć być wielkim mistykiem, czy nawet misjonarzem, ale kimś najmniejszym, zwykłym, prostym.

– A na piątym?

– Kochać „aż do bólu”, do końca – wkładać miłość w każdy gest, uczynek, na przykład w podniesienie papierka i wyrzucenie go do kosza czy wypicie nieposłodzonej herbaty. Wszystko czynić z miłością!

Franciszek słuchał z uwagą poszczególnych zadań, w końcu pokiwał głową i powiedział:

– Zgadzam się z Tobą, Teresko. Ja nigdy nie stałbym się wielkim misjonarzem Indii, gdybym nie był wierny w małych rzeczach...

Zgadając się ze Świętym Franciszkiem, powiedziałam:

– W służbie Pana Boga nic nie jest małe. Wszystko jest ważne... A wracając jeszcze do windy... Teresko czy wymieniłaś już wszystkie piętra?

Mała Tereska spojrzała w dal i powiedziała:

– Jeszcze jest jedno piętro – szóste. Na szóstym należy wysypiać się na modlitwie, to znaczy odpoczywać w obecności Pana Boga, tak jak byśmy zasypiali w Jego ramionach.

– Czyli tą windą do nieba są po prostu ramiona samego Pana Jezusa. Czyż nie? – zapytałam.

– To prawda. – Mała Tereska potwierdziła. – Jestem szczęśliwa, że Pan Bóg pokazał mi tę „małą drogę”. Jest ona możliwa dla każdego człowieka. Dzięki niej szybko dotarłam tutaj do nieba, gdzie zawsze pragnęłam przebywać. Ale nie przybyłam tutaj, aby odpoczywać.

– A co chcesz robić? – dopytałam.

Nasza rozmówczyni, pełna misyjnego zapału, biorąc w obie dłonie kwiat róży, który rósł przy drodze, od razu odpowiedziała:

– Chcę stąd dalej czynić dobro na ziemi. I spuszczać na nią deszcz róż. Żadnej prośby nie pozostawię bez odpowiedzi. Każdą przedstawię Jezusowi i zawsze będę prosić o jej spełnienie. Z pewnością Pan Bóg pozwoli mi pełnymi rękami wylewać łaski na ludzi.

Bardzo ucieszyła mnie ta odpowiedź, dlatego zaproponowałam:

– Jeśli tak, to jeszcze raz spójrzmy razem na mapę świata i zobaczmy, gdzie są największe potrzeby. I idźmy z tym prosto do Jezusa.

Święta Teresa uśmiechnęła się, a Święty Franciszek Ksawery zawołał:

– A więc, załogo misyjna! Do dzieła!

s. Anna Żurawska